Rok 1936. 5 kwietnia Nr. 14

DZWONECZEK

POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

Spraw...

Ach, kiedy widzę Twoje dłonie święte
Strasznemi gwoźdźmi do krzyża przybite,
I stopy Twoje okrutnie nagięte,
Z których się sączą krwi krople obfite;

Kiedy się patrzę na ten bok otwarty,
Skąd resztka życia spłynęła wśród męki,
I na te oczy, w których wzrok zawarty
Gaśnie z nadmiaru bolu i udręki;

Kiedy tak patrzę na Twą głowę świętą,
Którejś za życia nie miał kędy złożyć,
A teraz pletnią z ciernia owiniętą
Nawet na krzyżu nie możesz ułożyć,

Bo Ci omdlała pada na ramiona,
Albo się słania w pustkę bez oparcia, —
Poznaję, iże to grzechu brzemiona
Tak swemu Bogu odmawiają wsparcia...

O, Chryste, Ty, co za ludzkie przewiny
Siebie oddałeś Ojcu na ofiarę,
Spraw, by nareszcie ziemskie Twoje syny
W Twej śmierci — życia odnalazły wiarę.

Matka Boleściwa.

Niema jednego serca chrześcijańskiego, które w rozpamiętywaniach wielkopostnych nad męką i śmiercią Pana Jezusa, nie zabiłoby też i dla Jego Najświętszej Matki uczuciem najtkliwszej miłości i żalu.

Wszak ta Matka przeżywała wraz ze swoim Synem każdy Jego smutek, każdą zniewagę, każdy ból — tak, jak tylko mogła odczuwać Matka Boga-Człowieka.

Gdy matka ziemska raduje się każdym nowym dniem, nowym rokiem życia swojego dziecka, widząc w niem coraz większy rozwój cnót, przymiotów, zdolności, które kiedyś staną się całą wartością dojrzałego człowieka, to serce Marji z każdym dniem i rokiem następnym życia Jezusa ściskać się musiało coraz straszniejszą trwogą, jako że każdy z nich przybliżał ową okrutną chwilę, kiedy Syn Jej najukochańszy położyć się będzie musiał krwawą ofiarą na ołtarzu Krzyża.

I gdy każda matka na ziemi, widząc swe dziecko w utrapieniu czy w cierpieniach, śpieszy mu z ratunkiem, czy choćby z pociechą, Matka Boża nic zrobić nie mogła, by Synowi swemu Najświętszemu ująć choćby najmniejszą odrobinę cierpienia.

Nikt z ludzi pojąć nie jest zdolny, jak straszliwie cierpiało serce Bożej Rodzicielki. Toteż Kościół św. uważa Najświętszą Marję Pannę za współuczestniczkę w dziele Odkupienia świata. Ona, która z całym ludem wyglądała przyjścia obiecywanego Zbawcy, — rozdzierała poprostu na połowy własne serce, bo pragnąc zbawienia dla ludzi, niejako pragnąć musiała śmierci

własnego Syna. I dlatego choć serce Jej pękało z bolu nad bolem Jezusa, nie wyrzekła ani jednego słowa skargi, gdyż wiedziała, że to wszystko stać się musi, aby Bóg został przebłagany, a człowiek zbawiony.

Więc niedarmo przedstawiają Matkę Najświętszą z mieczem wbijającym się w Jej serce, a pieśń wielkopostna o Niej śpiewa przesmutnemi słowy: „Wpośród ziemi i niebiosów stała Matka Boleściwa".

Jak Ona Jezusowi stać się nie mogła pociechą ani ulgą w cierpieniu, taksamo i dla niej nie było na ziemi serca, któreby mogło Ją pocieszyć w Jej przeogromnej męce na widok męki Chrystusa. Musiała wraz z Nim pić z kielicha goryczy, aż się opróżnił do dna, aż się wypełniło wszystko, co się wypełnić musiało, by krzyż, na którym umarł Jej Syn, stał się dla świata znakiem Zbawienia.

Czy owady mówią?

(C. d.)

W tonie *f* brzęczą skrzydłami muchy i inne owady. Nawet basiści w orkiestrze owadziej, którymi są buczące trzmiele, też wydają dźwięk *f*, tylko niższy o całą oktawę od *f* much. Pszczoły według tego przyrodnika wydają dźwięk *a*, wykonywując skrzydłami 440 drgań na sekundę. Gdy zaś pszczoła wraca do ula obciążona pyłkiem kwiatowym, który później przetwarza na miód, wtedy ilość drgnień spada do 330 i daje już dźwiek inny — mianowicie: *e*. Chrząszcze wydają swem sennem brzęczeniem tony o wiele głębsze.

Trzmiele w razie grożącego niebezpieczeństwa porozumiewają się z sobą uderzeniem skrzydeł. Nawet owady różnych gatunków, a nietylko muchy z muchami, czy mrówki z mrówkami i t.p., rozumieją się nawzajem.

Mrówki n.p. poznają lot podrażnionego szerszenia lub pszczoły, gdy przelatuje nad ich mrowiskiem i zaraz gotują się do obrony. Przyrodnicy przypuszczają, że taki zagniewany owad pozostawia za sobą niemiłą dla mrówek woń, niby dla ludzi pędzący samochód.

Jeśli przyjrzymy się któremuś z owadów n. p. jętce, zobaczymy po dwa otworki na górnej części tułowia i po obu bokach odwłoka; otworki te naprzemian rozszerzają się i zwężają, a otwieranie to i zamykanie powodują małe klapki pośrodku otworu.

Otóż czynność ta nie jest niczem innem, jak oddechaniem i dlatego te otworki nazywamy tchawkami. Bywają one okrągłe i otoczone są jakby twardym pierścieniem, który nie dopuszcza do zamknięcia się. Inne otworki n. p. na piersiach chrabąszcza, bywają o wiele większe, podłużne, szparowate. Szparę tę tworzą dwie twarde pokrywy, które wskutek oddechania drgają tak szybko, że wywołują dźwięk. I właśnie ten dźwięk nazwano głosem owadów, powstaje bowiem podobnie jak głos u człowieka skutkiem drgania strun głosowych.

Ująwszy muchę za skrzydła, słyszymy wysoki ton brzęczący, który w tym wypadku nie jest oczywiście wywołany zapomocą skrzydeł, lecz pochodzi z owych narzędzi oddechowych. Takisam dźwięk wydają nieszczęsne muchy złapane na lep, albo te, które opaliły sobie skrzydła w płomieniu. Najświetniej jednak używa mowy tchawkowej czyli przetchlinkowej, pszczoła, a wszyscy pszczelarze znają dobrze jej delikatny gwiżdżący dźwięk.

Jeden z uczonych podpatrzył raz chwilę, kiedy w komórce ula rozwinęła się z jajka młoda matka. Robotnice jednak nie wypuściły jej z zamknięcia, obawiając się walki, jakaby wynikła natychmiast między matką młodą a starą. Młoda królowa nie mogąc ukryć swego niezadowolenia, wydała gwizd. Dosłyszała go dawna królowa, a zrozumiawszy co znaczy, okazała z tego powodu wielkie zaniepokojenie. Niepokój ten objął cały ul, gdyż każda pszczoła zrozumiała, że teraz stanie się coś bardzo dla nich ważnego. I rzeczywiście, wkrótce z ula wypadło kilkanaście tysięcy robotnic z dawną królową, aby nazawsze opuścić swoją dotychczasową siedzibę, zostawiając rządy nowej matce-królowej, jak każe ich odwieczny zwyczaj. Przyrodnik uważa właśnie gwizd ów za rodzaj mowy, którą rozumieją zarówno inne królowe, jak i robotnice i odpowiednio do tego się zachowują. (c. d. n.)

Antoś Palica.

Obrazek z życia. Napisał Bronisław Mazowiecki.

(C. d.)

Często piasek zasypywał oczy czuwającemu przy tarninie chłopakowi. Znużony długiem czekaniem, podniósł strzelbę i odszedł o kilka kroków dalej, gdzie chciał przysiąść na dużym kamieniu, zakrytym niskiemi zaroślami wierzbowemi. Stamtąd mógł równie dobrze wyglądać zjawienia się jastrzębia i nie być przez niego dostrzeżonym, a przynajmniej nie będzie miał kurzu w same oczy.

Jeszcze nie usiadł, gdy mu się przywidziało, iż właśnie jastrząb zleciał z wierzchołka sosny.

— Gdzieżby on się podział — szepnął i chyłkiem podsuwał się dalej mało wydeptaną ścieżką między owsem a brzegiem lasu.

Zbliżał się w stronę dużej łąki, gdzie zwykle wypasano konie, a po której w tej chwili swobodnie skakały wrony.

Wtem nowa wichura wypadła niewiadomo skąd i wytargawszy lasy, rzucała się to w tę, to w ową stronę po wolnej równinie. Antosia tak przyparła nagle do ściany lasu, że aż na chwilę przystanął, naciskając na czoło czapkę. Kiedy zaś tumany opadły, zwrócił jego uwagę jakiś nowy kłąb kurzu, lecz nieco odmiennego, niż tamte, koloru.

Zboczył coprędzej na miedzę, wlazł na kupę kamieni, z pola tam zrzuconych i przypatrywał się uważnie.

— Co to być może? Najwyraźniej dymi się. Tak jest, nic innego, tylko wiatr dymem pogania. Ale co się tam może palić?

Zerwał się z miejsca, i biegł zaniepokojony, skąd może dym pochodzić. Skierował się na drogę, która przecinając lasy, biegła dalej między pastwiskiem a łanami zboża.

Jeszcze kilka kroków, a zobaczył już wyraźnie błękitny dym, buchający jak gdyby z owej drogi. Wiatr pędził sypiące już iskrami kłęby na ściernisko w stronę stert żyta.

Od ogniska, którego jeszcze Antoś nie mógł dojrzeć, do miejsca, w którem czerniła się wśród rżyska kupa popiołu po zgorzałej stercie, mogło być conajwyżej dwadzieścia pięć kroków. Dalej zaś od zgliszczy do najbliższej sterty jeszcze dwadzieścia kroków drogi.

Strach ogarnął chłopca.

Na taką okropną wichurę — myślał, pędząc już co prędzej.

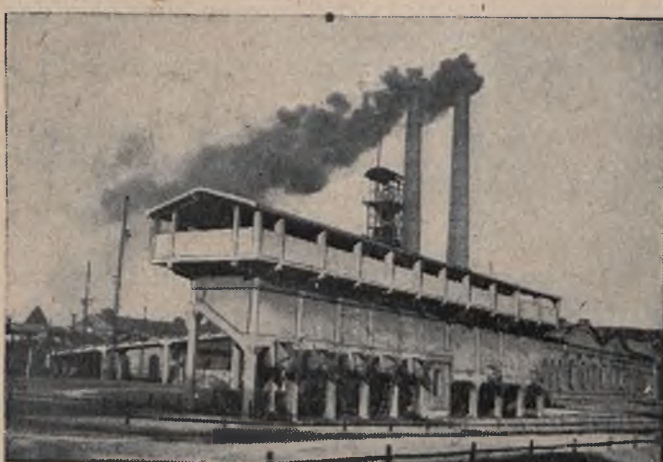
Zdyszany wpadł na drogę. Dokoła było pusto, nigdzie człowieka ani bydła w polu z powodu południowej spiekoty.

Po obu bokach drogi stare drzewa, rzadko i nierówno sadzone, chwiały się z szumem na wietrze. Brzozy i osiki przeplatała to sosna strzelista, to znów wierzba nad rowem przegięta pniem wyprochniałym.

W największe z tych drzew przydrożnych, w bardzo starą o grubym pniu osikę, piorun strzelił ubiegłego lata. Strzaskał jej tylko koronę u szczytu, lecz kilka potężnych konarów dokoła pnia oszczędził. Drzewo się nie spaliło, lecz nagle zamarło: uschło do korzenia. Kiedy się wszystko wokoło zazieleniło na wiosnę, szkielet osiki sterczał dalej nagi, otoczony wieńcem ogromnych sosen ciemnozielonych, palących się w słońcu czerwoną korą.

Na kilka stóp od ziemi czernił się zdawna w pniu uschłej osiki spory otwór zwęglony. Wiódł do środka głębokiego dziupła, w którem zwykle szerszenie miewały swoje gniazda. Że to zaś było tuż przy drodze, i złośliwe owady, wypadając nieraz rojem ze swej siedziby, pokąsały tego i owego z idących do pracy w polu, przeto ktoś ze śmielszych gospodarzy, mszcząc się za pokłutego przez szerszenie syna swego, odważył się raz do ich gniazda przystąpić i wypalił całe wnętrze dziupła.

Odtąd pastuchy zaglądali tam często, ciekawi czy sobie ptaszek jaki nie usłał w tem ukryciu gniazda, i zatykali je z figlów trawą, liśćmi lub słomą. Aż wreszcie tego lata dziupło w ogromnym szkielecie po suchej osice prawie znikło pod wiechą siana. (c. d. n.)



Kopalnia węgla „Eminencja" w Katowicach na Górnym Śląsku.

Odpowiedzi Redakcji.

W.P. M. J. z Młoszowy: O podobne łamigłówki, jak umieszczona już w numerze, prosimy. Inne zbyt łatwe, podobnie jak i artykulik.

W.P. J. Kr. z Podgórza: Parę nadesłanych umieścimy. Co do następnych rzeczy nie możemy nic obiecywać, zanim nie zobaczymy. A wogóle miejsca bardzo mało.